

Spóźniony Dzień Dziecka

4 czerwca 2009



W Peru przemieszkiałem mniej niż dziesięć procent swojego dorosłego życia, ale to tam poznałem najwięcej dzieci.

Pierwsza była trójka maluchów w Tumbes, gdy ciągnąłem za sobą walizkę z granicy z Ekwadorem.

– Skąd jesteś? – zapytał chłopczyk.

– Przepraszam, ale nie znam hiszpańskiego – patrząc na ich uśmiechnięte twarze naszła mnie ochota na żarty.

– Aha... a to daleko? Tam, gdzie mieszkasz?

– Nie rozumiem, co mówisz.

Cała trójka zaczęła się zastanawiać, a po chwili dziewczynka podsumowała:

– Ej, coś kręcisz, bo przecież odpowiadasz.

Potem nie było już tak wesoło.

Koło cmentarza w Yungay zaczepił mnie siedmiolatek. Chciał pieniędzy.

– Dlaczego mam dać ci pieniądze?

– Bo zbieram na książki do szkoły.



– I myślisz, że dam ci pieniądze za nic? Na pieniądze trzeba zapracować.

Zamyślił się:

– Mogę opowiedzieć historię o wielkim trzęsieniu ziemi.

– Już ja znam. Wymyśl coś innego.

Posmutniał na chwilę.

– To pokażę ci drogę do miasta i fajne miejsce w centrum.

Zgodziłem się od razu. Zgodziłbym się na wszystko, bo załapał, o co chodzi. Był w odpowiednim wieku, by samemu odkryć, że w życiu nie ma nic za darmo.

To było jedyne dziecko, w ogóle jedyny Peruwiańczyk, który wyciągnął do mnie pustą rękę z prośbą o pieniądze. Cały czas ktoś tam wyciąga rękę po pieniądze, ale zawsze oferuje coś w zamian. A to chce coś sprzedać, a to pokazać jakąś sztuczkę, a to zaśpiewać. Pracują tam także dzieci. Podoba mi się to. Nie to, że pracują, ale to, że nie proszą o jałmużnę.



W Machu Picchu zobaczyłem cud świata i zjadłem najlepszą pizzę na świecie. Upiekł ją dziesięcioletni syn właściciela pizzerii. Niesamowity dzieciak. Zbiera monety od restauracyjnych gości. Ma ich wielki worek. Drobne z całego świata. Ale nie tym mnie zadziwił. Chłopak wie, gdzie leży Polska i potrafi wymienić kilka polskich miast. O każdym kraju ma coś do powiedzenia. Tyle tylko, że jeszcze nie zdążył nauczyć się dobrze pisać. Bo praca ważniejsza od szkoły.

Na przejściu granicznym z Boliwią, kilka kilometrów od Copacabany, pracuje kilkuletni Peruwiańczyk. Podszedł do mnie ze szmatką w ręku i piękną polszczyzną zapytał: – Mogę ci wyczyścić buty?

Najwięcej dzieci poznałem w Limie. Ponad rok temu usnął mi na rękach malutki Juan Pablo, synek znajomych. Na ich rękach nie chciał usnąć, bo męczył go katar. Usiadłem z nim na kanapie i zacząłem opowiadać o Polsce. Chyba nudne to było dla niego, bo zasnął po kilku minutach. A ja wraz z nim. Do znajomych zadzwoniłem wczoraj. Jasiu Pawełek nadal ma katar. Jest alergikiem. Jak ja.

Wielu imion nie pamiętam. Zwłaszcza dzieci ze slumsów. Ale zapamiętałem ich twarze, bo chciałbym do nich kiedyś wrócić z czymś więcej, niż tylko paczką cukierków.



Równy rok temu byłem w Puno. Poznałem tam Ico i Nenę, rodzeństwo, które zaczęło się do mnie przytulać. Maluchy chciały się pobawić. Chciały trochę radości. A ja, głupi, dałem im trochę pieniędzy.

Dziś czytam w internecie, że w Puno i okolicach z powodu fali zimna zmarło ponad 130 dzieci poniżej piątego roku życia. Denerwuję się, bo Nena i Ico mieli mniej, niż pięć lat.

Nie mam jednak jak zadzwonić do ich mamy, bo tam gdzie mieszkają – na trzcinowej wyspie na jeziorze Titicaca – nie ma telefonów.

To spóźniony artykuł. Miał być na 1 czerwca, na święto dzieciaków. Ale z drugiej strony, czy to ważne, kiedy o nich pomyślę, napiszę lub zrobię cokolwiek innego? To przecież zawsze będzie za późno. I za mało.

Autorstwo: Piotr Maciej Małachowski

Zdjęcia: Piotr Maciej Małachowski

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 2.5 Polska